

Teksty Drugie 1994, 5-6, s. 5-16



Strukturalizm, modernizm i cień marksizmu (Z Michałem Głowińskim rozmawia Anna Nasiłowska)

Autobiografia

Strukturalizm, modernizm i cień marksizmu (Z Michałem Głowińskim rozmawia Anna Nasilowska)

Anna Nasilowska: Istnieje coś takiego jak wyobrażenie curriculum vitae idealnego naukowca. Ktoś taki oczywiście już od dzieciństwa dobrze się zapowiada, potem idzie na studia, spotyka Mistrza... W Pana pokoleniu było to bardziej skomplikowane. Polonistyka uniwersytecka lat pięćdziesiątych musiała być wydziałem bardzo silnie zideologizowanym. A jednak wychowała całą grupę badaczy, którzy od wielu lat tworzą kanon polskiej nauki o literaturze, są autorami „Zarysu teorii literatury” i „Słownika terminów literackich”. Wielokrotnie zdarzyło mi się spotykać też sygnały wdzięczności uczniów wobec nauczyciela – Kazimierza Budzyka. Z ciekawości nawet zaglądałam do jego prac, ale nie znalazłam potwierdzenia tego rozmachu, niezależności, który od początku cechował prace Pana, czy Sławińskiego.

Michał Głowiński: O, to nie było tak. Budzyka poznałem dopiero po studiach.

A. N.: *A więc nie było mistrza?*

M. G.: Nie, na polonistyce było po prostu okropnie. Chodziłem na

seminarium magisterskie Jana Kotta i to całkiem sobie chwałę. Nie miało ono charakteru systematycznego, ale przynajmniej prowadzący był indywidualnością bujną i błyskotliwą. Same studia były ponure: ogromna dominacja przedmiotów ideologicznych, które na dodatek prowadzone były przez nieuków. To byli aktywiści partyjni i ZMP-owcy, innej kadry nie było. Sporo spotykało się najgorszego marksizmu, zwulgaryzowanego i schematycznego. Wszystko interpretowano jako klasowe, postępowe lub wsteczne. I na tym tle pewne zajęcia się wyróżniały. Myślę o ćwiczeniach z poetyki, prowadzonych przez Marię Rzeuską, o której pisałem w „Pamiętniku Literackim” i w *Polskim słowniku biograficznym*, nie będę więc rozwijał szerzej tego tematu. To była osoba niezależna. Drugim takim zjawiskiem był wykład z językoznawstwa ogólnego prowadzony przez Zygmunta Rysiewicza. Niewiele o nim wiem. Językoznawcy pamiętają, że był on autorem słownika wyrazów obcych, silnie zideologizowanego w duchu stalinowskim. Ale jego wykład był doskonałym wprowadzeniem do językoznawstwa. Urwał się jednak niespodziewanie, gdyż profesor pewnego dnia zniknął. Po szczęściu tygodniach jego ciało wyłowiono z Wisły. Nie mam podstaw, żeby snuć przypuszczenia, co się właściwie wydarzyło. Inne zajęcia językoznawcze były mniej ciekawe, ale nie tak zideologizowane jak wykłady literackie. Tyle że, prawdę mówiąc, były okropnie nudne i sprawami tymi zainteresowałem się dopiero wiele lat po studiach, bo wtedy nie widziałem powodu. To było solidne, pozytywistyczne językoznawstwo, mało sprobematyzowane i bardzo szczegółowe. Mieliśmy jednak kontakt z wybitnymi uczonymi, myślę o Witoldzie Doroszewskim i Halinie Konecznej.

A. N.: *Fonologia nie była jeszcze opisana strukturalnie?*

M. G.: Była, ale to nie byli uczeni z tego kręgu. Ale to i tak było lepsze od wykładów z historii literatury. Na przykład literaturę współczesną na pierwszym roku wykładał Jan Zygmunt Jakubowski. To była kwintesencja najgorszego stalinowskiego marksizmu. Literatura współczesna zawsze bardziej interesuje studentów od dawnej, przychodziło więc mnóstwo osób, ale już po kilku wykładach stało się dla inteligentniejszych słuchaczy jasne, że nie ma na co liczyć. Umiał on rzeczywiście sporo wierszy na pamięć, poza tym raczył nas stekiem frazesów. Mimo że większość wykładowców reprezentowała tę samą

7 STRUKTURALIZM, MODERNIZM I CIEŃ MARKSIZMU

zideologizowaną naukę, ujawniały się między nimi różnice poziomów, zależne od inteligencji i kwalifikacji. Tu nie było ani jednego, ani drugiego.

Tak wyglądały pierwsze dwa lata, po śmierci Stalina od razu wiele się zaczęło zmieniać, nie w sensie formalnym, ale odczuwało się trochę więcej swobody. Przedtem wszystko było tak pomyślane, żeby student przede wszystkim nie miał czasu: organizowano niezliczone narady i zebrania, szkolenia, czyny. Pani rozumie słowo „czyn”?

A. N.: *Oczywiście. Jeszcze w latach siedemdziesiątych usiłowano do tego wracać. W liceum byliśmy na wykopkach...*

M. G.: E, to już była faza schyłkowa. Ja zresztą mówię z perspektywy studenta, który należał do ZMP. Na moim roku nie należały trzy osoby, mogę nawet je wymienić. Istotne podziały przebiegały inaczej: na studentów, którzy przyszli na uniwersytet po normalnych liceach i na tych, którzy mieli za sobą studia przygotowawcze.

A. N.: *Zostali przystani?*

M. G.: Tak, ale i tu nie generalizowałbym, byli wśród nich różni ludzie, o różnych biografjach, w większości jednak — aktywiści partii i ZMP, z których postanowiono zrobić nową inteligencję. Niektórzy nie mieli żadnego zaplecza kulturalnego, nie nadawali się na politchnikę, a więc posłano ich na polonistykę.

Jak teraz myślę o tych czterech latach, to ze zdziwieniem stwierdzam, że jednak czegoś się wtedy nauczyłem. To nie był czas całkowicie zmarnowany. Magisterium zrobiłem w 1955 roku.

A. N.: *Potem był Budzyk?*

M. G.: Tak. Moi koledzy pisali o Budzyku dość dużo, ja — mniej, a gdy dziś o nim myślę, to wydaje mi się on przede wszystkim postacią tragiczną. Na to się składa wiele elementów. Tragiczną postacią jest zawsze uczonego, którego klasycznymi pracami są prace młodzieńcze. Wczesne rozprawy Budzyka ze stylistyki jak *Gwara a utwór literacki*, studia o neologizmach i strukturach prozy — to jest wczesny polski strukturalizm i te prace są żywe do dzisiaj. Może mówi się teraz o tym w innym języku, ale jego ustalenia nadal obowiązują. Znakomite są jego prace z historii książki, tak twierdzą specjaliści, podobno Budzyk

stworzył nowy typ opisu starej książki. Po tragicznych przeżyciach okupacji Budzyk wybrał marksizm. Był zresztą całe życie bezpartyjny. Jednakże połączenie formalistycznej tradycji z wulgarnym marksizmem tamtych czasów nie dało niczego dobrego — nie widzę powodu by ukrywać, że w tym połączeniu zwyciężył wulgarny marksizm, nie — formalizm. Był to człowiek zasadniczy i nie wybrał marksizmu dla kariery, on do niego doszedł z trudem, po przemyśleniach. Traktował siebie poważnie — nie mógł więc po prostu powiedzieć sobie pewnego dnia, że to było złe, więc to odrzucam i nie ma problemu. A tak zachowało się wielu jego rówieśników. Jak im przypominano ich wulgarne prace, to się obrażali. Tak zresztą dzieje się do dzisiaj. A Budzyk tak nie mógł, choć stawał się anachronizmem i chyba sam to czuł. Umarł w pełni sił, ledwie zaczawszy komparatystyczną pracę na temat wątków czopowych, która miała być dziełem jego życia.

Poza tym to był człowiek, z którym kontakt był trudny. Niedosłyszał, zdaje się na skutek pobicia podczas wojny. Ale na seminarium potrafił pokazać swój warsztat, ukształtowany przez formalizm, toteż skupiła się wokół niego grupa interesujących osób a potem już pod wpływem uczestników, przede wszystkim Janusza Sławińskiego, seminarium zaczęło zmieniać całkowicie charakter. To był 1955 rok, odwilż w pełni i choć oficjalny temat wiązał się z estetyką marksistowską, szybko od niego odeszliśmy. Tu referowaliśmy potem artykuły, czy fragmenty prac doktorskich. To już było wejście w świat formalistyczno-strukturalistyczny.

A. N.: *Czyli, w 1955 roku skończył Pan studia, a w 1962 ukazała się Pana praca o Tuwimie. Do tej pory, gdy ktoś używa pojęcia tradycji literackiej i chce ją definiować — to sięga do tej pracy. Jest to więc książka klasyczna, choć pewnie nie zgodziłby się Pan na jej wznowienie?*

M. G.: Nie, nie zgodziłbym się. Nie dlatego, że ją oceniam tak źle, to była pewna próba opisu poetyki. Teraz trzeba by ją już napisać inaczej, a ja mam lepsze zajęcia.

A. N.: *Czy to był świadomy zamiar określenia najbliższej tradycji historycznoliterackiej? Myślę o Pana pracy o Tuwimie, o tym, że Sławiński zajął się Awangardą Krakowską, a Kwiatkowski — Staffem... To jakoś*

9 STRUKTURALIZM, MODERNIZM I CIEŃ MARKSIZMU

wiąże się z sytuacją badaczy, którzy zastali ugór od lat nie ruszany. Chodziło o ustalenie, co jest właściwie naszą historią literatury.

M. G.: Oczywiście. To było dość nowe. I dawało dystans wobec polonistyki marksistowskiej, która podejmowała inne tematy. Przy czym jednak ja nie uważam automatycznie marksizmu w nauce o literaturze za bzdurę, rozumiem, że mógł być pociągający, a także dawał ciekawe rezultaty: w wersji Henryka Markiewicza czy Marii Janion. My jednak od tego uciekaliśmy. Strukturalizm stał się dla nas szansą.

A. N.: *No tak, ale u Pana w strukturalizmie było mnóstwo wątków nietypowych: tradycja literacka, mniej modelowości, synchronii, więcej diachronii. To taki nieczysty strukturalizm. A jednak uważam, że jest Pan badaczem, u którego do dziś zostało z tej postawy bardzo wiele – przede wszystkim dotyczy to analizy języka propagandy, nowomowy. To nie zostało odrzucone, ale wspaniale wykorzystane.*

M. G.: Ja się czuję nadal głęboko ze strukturalizmem związany. Jako metodologia naukowa dawał on bardzo dużo, m. in. pozwalał operować generaliami. To nie był kierunek zajmujący się interpretacją poszczególnych dzieł, ale tworzył narzędzia analizy. Nic darmo tacy teoretycy hermeneutyki jak Gadamer, a przede wszystkim Ricoeur interesują się tym, co w szkole strukturalnej pisało się na temat tekstu. Ta uniwersalność strukturalizmu jest ważna w płaszczyźnie metodologicznej. Z drugiej strony – strukturalizm w warunkach Polski Ludowej dawał szansę na niezależność i to się liczyło w płaszczyźnie ideowej. Bycie marksistą w Polsce nie było tylko decyzją typu naukowego – stanowiło też sygnał: „jestem słuszny”, czy „jestem po właściwej stronie”. Mnie to by zupełnie nie odpowiadało. Strukturalizm z pozoru był abstrakcyjny, nie związany z realiami PRL, i przez to – dawał szansę wolności. Traktowano nas jako niegroźnych: a, zajmują się formą, jacyś zwariowani. Chociaż, oczywiście, był przedmiotem ataków – przede wszystkim ze strony różnych gorliwców, znajdujących się z reguły poniżej poziomu, na jakim nasza dyscyplina jest uprawiana. Z przykrością przypominam, że w nauce o literaturze bastionem obskurantyzmu, odwołującego się do marksizmu, była polonistyka na Uniwersytecie Warszawskim (za czasów wspomnianego już Jakubowskiego, ale i później), przypomnę choćby zbiorowy atak z jedynie słusznych PZPR-owskich pozycji na *Słownik terminów*

literackich (w „Przeglądzie Humanistycznym” w roku 1978). Przed rokiem chyba przeczytałem w sympatycznym skądinąd krakowskim piśmie „Dekada Literacka” opinię, że strukturalizm to jeden z ponurych wytworów PRL-u i trzeba z nim wreszcie skończyć. Autor, mimo że ze względu na wiek powinien czasy Polski Ludowej nieźle pamiętać, zademonstrował pełną złąj woli ignorancję.

A. N.: *A teraz właśnie stworzonych przez strukturalizm narzędzi używa Pan do analizy języka PRL. Myślę oczywiście o cyklu książek, do których należy „Marcowe gadanie”.*

M. G.: Zacząłem się tym zajmować w połowie lat sześćdziesiątych, do szuflady. I gdybym nie miał za sobą lektur strukturalistycznych, nie umiałbym tego robić. Przydało mi się obcowanie z pewnego typu językoznawstwem. Chciałbym zresztą tu podkreślić wielkie zasługi Marii Renaty Mayenowej, która była łącznikiem między tymi oboma dziedzinami.

Poza tym strukturalizm oznaczał otwarcie się na świat. W latach pięćdziesiątych...

A. N.: *To był zaścianek?*

M. G.: O, nie, raczej podwórce więzienne, bo to było obmurowane. Kontaktów miało nie być, a poloniści powinni stać się uczniami przodującej nauki radzieckiej. Ale tej przodującej nauki nie tworzyli uczeni wielkiej klasy, którzy rzeczywiście gdzieś żyli w Rosji na marginesach, ale stalinowscy karierowicze. Strukturalizm oznaczał otwarcie się na świat. W 1960 roku odbył się w Warszawie wielki kongres poetyki, organizowany przez Mayenową, z poparciem Żółkiewskiego, który był bardzo ważną postacią w życiu politycznym. Przyjechali autentyczni uczeni z różnych stron świata, w tym amerykańscy, a także Czesi (Mukařowski zjawił się w Warszawie trochę później). Jakobson bywał w Polsce wielokrotnie. Pojawili się zresztą wybitni Rosjanie jak Dmitrij Lichaczow. Przyjechał do Warszawy Barthes, był Benveniste — ale już późno, w 1968 roku. To się niestety skończyło raptownie w Marcu. Pozostały lektury, w pewnej mierze — wyjazdy, ale przyjazdów już nie było. Żółkiewski wypadł w 68 roku z gry politycznej, zaczął za to przychodzić na dyżury i do biblioteki, gdzie go wcześniej rzadko widywano.

11 STRUKTURALIZM, MODERNIZM I CIEŃ MARKSIZMU

A. N.: *A więc historia strukturalizmu w Polsce jest związana z pozycją polityczną pewnych osób z IBL-u.*

M. G.: Tak, niewątpliwie.

Chciałbym jednak podkreślić, że praca w IBL-u ma dla mnie ogromne znaczenie. Instytut Badań Literackich, może nawet bardziej niż inne instytuty, jest niezwykle zjawiskiem. To był nadzwyczajny zespół ludzi. Mogły pojawiać się konflikty, napięcia, ale tworzyliśmy pewien zespół. Poza wszystkim innym – IBL dawał wolność poszukiwań i czas na właściwą pracę, to była szansa, którą starałem się wykorzystywać. Dość wcześnie zdałem sobie sprawę z tego. Byliśmy w dużo lepszej sytuacji niż nasi koledzy pracujący na uniwersytetach. Także dlatego, że tu nie było indoktrynacji. Czasem tworzyła się psychologia oblężonej twierdzy, coś w rodzaju rozumowania „Słoń a sprawa IBL-u”. Jednakże postawa Instytutu w Marcu 68 – była czymś absolutnie niezwykle. Nie wiem, czy jest druga taka instytucja w Polsce.

A. N.: *Nikogo nie wyrzucono?*

M. G.: To nie o to chodzi. To, że nikogo nie wyrzucono, wynikało z przyjętej kolejności – partia najpierw postanowiła rozprawić się z uniwersytetami. A reszty nie zdążyła zniszczyć, bo już wyczerpał się impet. Postawa IBL-u w tym czasie była niebywale solidarna. Odbyło się zebranie, firmowane przez ówczesny związek zawodowy. Przewodniczącą była Jadwiga Czachowska, wspominam o tym, bo to ona mogła ponieść za to konsekwencje, podobnie jak Zofia Stefanowska, która prowadziła zebranie. Trudno powiedzieć, czy stało się tak za aprobatą dyrekcji, nie było wtedy w Warszawie Kazimierza Wyki, ale uchwalono jednoznaczny protest. Zawsze bardzo sobie ceniłem, że w IBL-u podział: partyjni – bezpartyjni miał na ogół postać łagodną. Grupa partyjna zresztą z biegiem lat stawała się coraz mniej liczna. Trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza dzisiaj, gdy pojawia się skłonność do schematów i dychotomicznych podziałów.

A. N.: *Pan próbował przez pewien czas także wyglądać w stronę krytyki literackiej, ale to skończyło się szybko.*

M. G.: Tak, pisywałem recenzje do „Twórczości”. Wspominam to

dość miło, ale trudno mi o tym mówić, bo moich tekstów z tamtego czasu nie miałem w ręku od dziesięcioleci i nie mam do tego żadnego stosunku. Właściwie nie lubię tych swoich wczesnych kawałków, choć jakiś poziom musiały reprezentować, skoro „Twórczość”, która była wtedy bardzo poważnym pismem, je drukowała.

A. N.: Czyli nie wciągnęło to Pana?

M. G.: Nie, to było trochę inaczej. Ja wcześniej zdałem sobie sprawę, że w Polsce Ludowej, jeśli się chce być krytykiem, to w zasadzie uczciwie można pisać recenzje. Światopogląd recenzenta jest ograniczony – bierze się książkę, omawia, ocenia i niczego poza nią można nie dostrzegać. Na nic poważniejszego nie było miejsca. Kiedy na przykład piszę o pisarzu A, ale nie mogę wspomnieć o pisarzu B – to właściwie popełniam nadużycie, jestem nieuczciwy. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy po październikowych swobodach życie kulturalne zaczęło się znów ograniczać. W nauce o literaturze miałem znacznie większą swobodę działania, więc z bieżącej krytyki się wycofałem. To nie jest tylko mój przypadek: podobnie jak ja wycofał się Sławiński, Błoński też wybrał inne zajęcia, Flaszen zajął się teatrem, Kijowski zaczął pisać powieści. Wielką postacią pozostał Jerzy Kwiatkowski, ale też pisał właściwie od pewnego momentu jako historyk literatury. Myślę, że zawód krytyka... nie, to nie zawód, działalność krytyczna w Polsce Ludowej narażała na takie niedogodności, że właściwie nie można było się tym zajmować. To jest do opisanego na przykładzie Artura Sandauctera...

A. N.: Właśnie miałam Pana o niego zapytać.

M. G.: Sandauer w wielu sprawach miał rację, ale nie uświadomił sobie, że kiedy pisze pamflet na opozycyjnego Andrzejewskiego, to powinien mieć również prawo napisania pamfletu na Putramenta. Pamiętam jego odpowiedź na ten zarzut – to mogło być w druku, albo w rozmowie prywatnej, bo znałem go osobiście – że „Putramentem nie warto się zajmować”. I tu jest fałsz. Może nie warto się zajmować autorem kilkunastu marnych powieści, ale Putrament to było zjawisko. Tym bardziej, że Sandauer nie uprawiał wyłącznie krytyki arcydzieł. Prawdę mówiąc krytyk czasem wbrew swej woli mógł stać się sojusznikiem restryktywnej polityki kulturalnej. Trzeba

13 STRUKTURALIZM, MODERNIZM I CIEŃ MARKSIZMU

pamiętać, że w latach sześćdziesiątych pisma literackie – poza „Twórczością”, która zawdzięczała to Iwaszkiewiczowi – znowu się ideologicznie usztywniły. Na przykład „Życie Literackie”, które było całkiem niezłe, stało się ekspresją poglądów redaktora naczelnego.

A. N.: Tak, ale pamiętam, że Pan mówił kiedyś, że Machejek to niezwykle twórcza językowy.

M. G.: Tak, to jest zjawisko niebywałe. Styl Machejka przypomina dowcip o kolchoźnicy, która zobaczyła żyrafę i powiedziała, że takie zwierzę nie istnieje. Pisanie Machejka to taka żyrafa – naprawdę istnieje, ale jest nieprawdopodobne.

A. N.: A czy maniera młodopolska Pana nie razi? Jest Pan badaczem niezwykle wrażliwym na styl, język, a zarazem autorem studium o powieści młodopolskiej.

M. G.: To zależy. Czasem...

A. N.: Bo w Pana pisaniu trudno dopatrzeć się pokrewieństw, to zupełnie nie to.

M. G.: Młoda Polska była wielkim okresem polskiej literatury. Oczywiście, maniera mnie razi, to nie jest tak, że wieczorem mogę to sobie czytać dla przyjemności.

A. N.: A czy dla przyjemności słucha Pan utworów Gustawa Mahlera?

M. G.: Tak. Mam wszystkie jego symfonie na płytach, również dla przyjemności słucham Szymanowskiego.

A. N.: A więc jednak coś jest, jakieś pokrewieństwo.

M. G.: Nie wypieram się. To była wielka epoka, choć nie poezji, jak wtedy sądzono. Przede wszystkim krytyki literackiej. Nie ma drugiej takiej w Polsce. To nieprawdopodobna eksplozja talentów.

A. N.: Tak, Irzykowski, Brzozowski, rzeczywiście...

M. G.: Nie, to chodzi o to, że nawet ten, powiedzmy, pięćdziesiąty w kolejności rangi jest ciekawy i na poziomie. Od lat pracuję nad książką o krytyce młodopolskiej. Ruch czasopiśmienniczy w tym

okresie był imponujący, podobnie jak dramat i teatr. Odrodzenie polskiej muzyki. Unowocześnienie polskiego malarstwa — pojawiają się malarze o klasie europejskiej. To był wielki okres polskiej kultury. Jak mawiał Wyka: to nie jest Młoda Polska, to jest Wielka Polska. To zresztą zaczęło się już w latach osiemdziesiątych, wraz z późnym pozytywizmem. Pisał zresztą o tym Stefan Kołaczkowski w artykule *Rekonesans*, że cezura młodopolska jest właściwie mniej ważna niż przejście od pozytywizmu ze sztuką tendencyjną do pełnego otwarcia na Zachód.

A. N.: *To jak Pan, jako badacz modernizmu zapatruje się w takim razie na te pomysły, żeby XX wiek podzielić na modernizm i tendencje postmodernistyczne?*

M. G.: Nicstety (*śmiech*). Wpływ angielszczyzny na polszczyznę jest w tej chwili ogromny. Modernizm po angielsku to jest coś innego, przede wszystkim pojawia się później.

Ale coś w tym jest. Przecież pogłosy Młodej Polski odzywają się właściwie do dzisiaj. W ostatnich tygodniach pracowałem nad wstępem do nowego wydania *Pornografii* Gombrowicza. Jest to przecież powieść o problematyce ściśle nietscheańskiej. To można pokazać na tekście: główna postać ma na imię Fryderyk, nawet symbolika jest modernistyczna. Jeśli zanalizujemy postać występującego w powieści wiejskiego chłopaka — to też okazuje się, że to nie jest Walek z *Ferdydurke*, ale Pan z orszaku Dionizosa.

Okres modernizmu to również okres bardzo ścisłych związków z Europą. Proszę zauważyć: wychodzą pełne dzieła Nietzschego, z niewielkim opóźnieniem wobec oryginałów, tłumaczone są książki Bergsona, też szybko, wydaje się we Lwowie Freuda. W dwudziestoleciu tłumaczono mniej.

Myślę, że historyków literatury czeka zmiana periodyzacji od końca dziewiętnastego wieku do dzisiaj. Nie bierzemy pod uwagę autentycznych podziałów. Przeceniamy natomiast dość powierzchowne urazy i gesty, a także to, co można by nazwać powierzchnią świadomościową. Wiadomo, że na przykład Skamandryci przeciwstawiali się durniom w pelerynach, a jednocześnie — wiele wzięli od Staffa (i nie tylko od niego).

15 STRUKTURALIZM, MODERNIZM I CIEŃ MARKSIZMU

A. N.: *A Miłosz w latach trzydziestych nie mógł znieść Leśmiana, choć potem pisał „Tam nasz początek” wspominając secesję.*

M. G.: Modernizm – to znaczy nowoczesność. Te drobne podziały, bardzo szczegółowe periodyzacje są nie do utrzymania, gdyż szatkują proces historycznoliteracki według kryteriów już dzisiaj nieistotnych. Historycy literatury przejęli to, co mówili o sobie sami pisarze. Gdyby brać poważnie pod uwagę świadomość tych miniaturowych grupiek poetyckich, które powstawały w Polsce po wojnie, to co pięć lat mielibyśmy nową generację i przełom. Nie ma też ścisłego paralelizmu między przełomami literackimi i artystycznymi a polityką. Widzimy to nawet teraz: 1989 rok nie był przełomem literackim. A Pani się wydaje, że był?

A. N.: *W sposobie funkcjonowania kultury – tak. A poza tym nie wiadomo jeszcze, co się z tego wyłoni.*

M. G.: No tak, nie ma cenzury, inaczej niż w PRL działają wydawnictwa i czasopisma, zanikł podział na literaturę krajową i emigracyjną. To są zmiany życia literackiego. Jest oczywiście pod tym względem dużo lepiej.

A. N.: *Albo gorzej.*

M. G.: Tak, na przykład mniej się tłumaczy książek z nauk humanistycznych (może poza psychologią). Nastąpiła atomizacja życia literackiego. Podziały polityczne rzutują na życie artystyczne. Nie ma żadnego czynnika integrującego. To bardzo utrudnia rozpoznania.

A. N.: *W książce „Nowomowa po polsku” pisał Pan o tym, że mimo przełomu nowomowa ma się dobrze. To była diagnoza z 1989 roku. Czy to się zmieniło?*

M. G.: Nie. To bardzo interesujące zjawisko i ciągle je obserwuję: postawa antykomunistyczna nie oznacza zdystansowania się wobec mowy komunistycznej. Pewni autorzy nieświadomie ulegają jej mechanizmom. Nawet stało się pewną regułą, że im kto bardziej prawicowy, tym chętniej stosuje procedery lingwistyczne znane z komunizmu. Zająłem się na przykład językiem nie istniejącego już pisma „Nowy Świat”, sposobami definiowania tego, kto to jest Europejczyk.

Z drugiej strony retoryka postkomunistycznej ekipy, a przede wszystkim Waldemara Pawlaka, wprost wywodzi się z manier PRL-owskich (choćby to irytujące operowanie pierwszą osobą liczby mnogiej).

A. N.: Mnie bardzo jednak niepokoi zjawisko оголоzenia mowy publicznej. Każde dość normalne państwo wykształca pewien język propagandowy. Ma go na przykład dwudziestolecie i jest to zjawisko bardzo wielopiętrowe i skomplikowane. Na pewno istnieje taki język umowny we Francji, i to niezależnie od tego, czy rządzą socjaliści czy prawica – on zmienia się nieznacznie. My, analizując ciągle ten straszny język PRL-u i wciąż znajdując się pod jego negatywną presją, nie jesteśmy nastawieni na to, jak właściwie powinno wyglądać to zjawisko. Słowa są wciąż skażone.

M. G.: Tak, ale taki stan rzeczy jeszcze trwać będzie długo. Szansą jest to, że istnieje różnorodność. Najgorszą rzeczą jest monofoniczność. W tej chwili w języku symboli panuje ogromne zamieszanie. Na przykład niedawna sprawa okładki tygodnika „Wprost” z Matką Boską w masce gazowej. Przcior Paulinów natychmiast uznał, że to skandaliczne i zapytał: „kto za tym stoi”. To jest oczywiście sformułowanie z propagandy komunistycznej! Paweł Jasienica coś niemiłego o Polsce Ludowej powiedział – ale „kto za tym stoi”?

A. N.: Określone siły, oczywiście.

M. G.: Właśnie. Ale ta zmiana 1989 roku to niesłychany przełom. I mimo trudności finansowych życie naukowe całkiem żwawo się toczy. Wychodzi sporo książek w różnych ośrodkach, ruch wydawniczy w polonistyce został bowiem zdecentralizowany, odbywa się wiele konferencji (lepszych i gorszych). Niepokojącym zjawiskiem jest mniejszy dopływ książek naukowych z szerokiego świata. Byłoby ponurym paradoksem, gdybyśmy otwierając się na Europę, zostali odcięci od światowej nauki. Jestem optymistą, mam więc nadzieję, że tak się nie stanie.

A. N.: Dziękujemy za rozmowę.

wrzesień 1994